

WYWIAD przeprowadzony przez Katarzynę Kowalcze w grudniu 2018r .

Antonina Kowalcze, która całe życie mieszka w Jordanowie.

- Wrzesień 39r. zastał cię, babciu, w rodzinnym Jordanowie. Minęło wiele lat, jednak dziś chciałam Cię prosić o przywołanie wspomnień związanych ze społecznością żydowską z tamtego okresu.

- Jeżeli chodzi o Żydów, ich historia jest bardzo smutna. Zacznę od tego, że mój ojciec pochodził z Łodzi i miał kontakt z Żydami, kolegował z nimi. Ich tam było wtedy dużo. Później ożenił się z moją mamą i przyjechali do Jordanowa. Znał bardzo dobrze język żydowski i niemiecki. W Jordanowie przed wojną było dużo Żydów, mieli dużo sklepów, a wiesz jak było ciężko wtedy, Żydzi zawsze dawali „na kredyt”. Później zaczęły się łapanki tych Żydów. Mogę tylko tyle powiedzieć, że moi rodzice bardzo Żydom pomagali, jedzenie, koce mama im wносиła do lasu, spali u nas w piwnicy. Pamiętam, że jedna rodzina była z małym dzieckiem i mama tak ich żałowała, że zabiła kurę, ugotowała zupę. Niosła ją do lasu w koszyku, że niby idzie szyszki zbierać, by było czym palić. Oni się biedni chowali w naszym lesie, nad borowym potokiem, a później przenieśli się do lasu poniżej. Niemcy się bali wchodzić do lasu, więc byli prawie bezpieczni. Jednego razu moją mamę bardzo o pomoc prosiła żydowska rodzina, ojciec, matka i dwójka dzieci. Przychodzili do nas z tymi dziećmi, jedno z nich było bardzo małe. Ta Żydówka prosiła moją mamę o przewiezienie tego dziecka do Krakowa. Oni sami do miasta chcieli na nogach przejść, a z małym dzieckiem byłoby to niemożliwe. Miejsce, gdzie tą dziewczynkę mieli oddać, było już ustalone, ktoś tam miał ją odebrać. Mój wujek miał konia i jeździł pod Kraków kupować zboże. Do dziś pamiętam, jak moja mama owinęła się dużą chustą razem z dzieckiem, a ta dziewczynka jakby wyczuła co się dzieje, taka spokojna była. Dojechali do tego miejsca, jacyś ludzie odebrali dziecko. Moi rodzice wrócili z wujkiem i wszystko się udało. Od tych Żydów po latach przyszedł list, „*Jesteśmy bezpieczni, dziękujemy*”, mój tata musiał go ukryć, żeby nie było podejrzeń, bo był pisany po żydowsku. Włożył ten list do butelki i zakopał gdzieś pod domem. Próbowaliśmy go potem z dziadkiem odnaleźć, ale nie udało się.

Był też drugi dom koło nas, tam na zakręcie u Bogdanów. Tam jacyś Żydzi przyszli, chcieli przenocować, ale ktoś na nich doniósł, przyszli po nich, to biedni musieli ze strychu skakać na drzewa i do lasu, co się dalej z nimi stało, to nie wiem. Sąsiedzi źle się nam trafili, od góry zapisali się do Górali, bardzo myśmy się ich bali i tych od dołu też, Wojdyłów. Oni z kolei po wojnie wyjechali na zachód, teraz już pewnie nie żyją. Baliśmy się, ale wychodziliśmy na cało, bo ojciec znał niemiecki i dobrze z Niemcami żył.

Było też raz tak, że prowadzili tych Żydów na zakręty, jak się jedzie do Suchej. Niemcy ich na tych zakrętach rozstrzelali, a Polacy musieli chować. Później jak już się wszystko uspokoiło, mój tato i inni mieszkańcy Jordanowa poszli tam, pozbierali te szczątki bliżej drogi. Nie wiem czy była trumienka, czy nagrobek, ale na pewno dali krzyż.

- A kojarzysz może, babciu, nazwisko Wilczek?

- Oj... ten Niemiec?

-Polak

- Ale on z Niemcami utrzymywał, rany boskie świętego jak on pilnował. Gonił za Żydami jak nie wiem, bardzo był niedobry. Miał jakiś wyższy stopień, przyjechał do nas, bo miał narzeczoną [...], dokładnie nie wiem, co się z nią potem stało ani jak się poznali. Bardzo ładna dziewczyna z niej była, taka lalusia. Mieszkała niedaleko nas, może kilometr stąd w stronę Krakowa.

Wilczka bardzo się bali. Przy rozstrzeliwaniu na zakrętach jedna kobieta przeżyła, to ją z zimną krwią dobił. Partyzanci go gdzieś potem przyłapali i umarł. To nie był człowiek, bo gdyby był, nie dałby rady tak robić.

- Dziękuję bardzo za poświęcony czas i rozmowę .